

Przegląd amerykański (III)

Okrucy historii, przemiany ustrojowe,
czyli od stanów skonfederowanych do federalnego Lewiatana

Jacek Koronacki

Konstytucja po dwustu latach

Niniejszy numer „Arcanów” należy do serii „historycznej”, warto więc zacząć od poszukania odwołań do historii Stanów Zjednoczonych w tamtejszych konserwatywnych periodykach opiniotwórczych. Z naturalnych względów najłatwiej znaleźć cytaty z Konstytucji oraz z mów i pism jej twórców, czyli Ojców Założycieli. Wszak ustawa zasadnicza musi tam pełnić rolę szczególną będąc kontraktem, mocą którego młode stany utworzyły i potem poszerzały wspólne państwo federalne. Ów kontrakt tym był ważniejszy, że niejako zastępował Ameryce historię.

Na Konstytucję oraz na amerykańską elitę polityczną przełomu XVIII i XIX wieku chętnie i często powołuje się zarówno lewica jak i prawica. Różnica polega na tym, że pierwsi traktują Konstytucję jako żywy dokument i na treści w niej zawarte patrzą przez pryzmat swoich dzisiejszych preferencji ideowych, podczas gdy drudzy starają się dawać interpretację zgodną z intencjami i myślą Założycieli. W rezultacie konserwatyści dochodzą do wniosku, że dzisiejsza Ameryka ni mniej, ni więcej tylko stoi gwałtem na swej własnej ustawie zasadniczej. Spośród publicystów bodaj najczęściej zwraca na to uwagę Józef Sobran, ale podobnie piszą także inni. W jednym z jego artykułów z końca zeszłego roku czytamy:

Albert Jay Nock pisał o „naszym wrogu, państwie”, mając na myśli państwo współczesne, które nie działa jako praworządny i bezstronny arbiter – a pełnienie takiej właśnie funkcji uznawał Nock za właściwą rolę władzy - lecz za cel stawia sobie kierowanie naszym życiem i rządy nami tak byśmy służyli jego własnym interesom. Ten typ rządów postrzegany jest dziś jako tak naturalny, że większość ludzi nie umiałaby choćby wyobrazić sobie jakiejś dlań alternatywy. Ludzie myślą, że naturalną funkcją rządzących jest – na przykład – panowanie nad ekonomią, tropienie i eliminowanie „uprzedzeń i przesądów” oraz dążenie do zmiany tradycyjnego pojmowania płci (żeby nie wspomnieć o „zarządzaniu planetą”, jak z aprobatą napisał pewien rzekomo konserwatywny periodyk).

Sobran pyta jak doszło do tego, że Stany Zjednoczone z republikańskiej konfederacji przemieniły się w scentralizowane imperium o nieograniczonej władzy nad własnymi obywatelami? Przypomina, że Deklaracja Niepodległości z roku 1776 oraz Artykuły Konfederacji z roku 1777 uznawały stany za wolne i niezależne. A jaką rolę przypisała stanom Konstytucja?

Zagadnienie to – pisze Sobran - było centralnym punktem debaty ratyfikacyjnej. Zwolennicy ratyfikacji Konstytucji byli w zasadzie zgodni, że rząd „narodowy” powinien być rządem władającym stanami „skonfederowanymi” a nie „skonsolidowanymi”. Przekonywali obywateli, że stany pozostaną zasadniczo wolne i niezależne. Jakub Madison przypominał w „Federaliście” nr 45 [tu przypis 1], że Konstytucja przyznaje rządowi federalnemu jedynie

„nieliczne i określone” kompetencje, głównie odnoszące się do zagadnień międzynarodowych i międzystanowych. Zarazem, jak tłumaczył Madison, kompetencje rządów stanowych miały być „liczne i nieokreślone”. [...] Dziesiąta poprawka do Konstytucji została dodana po to tylko, by explicite podkreślić zasadę, według której kompetencje nie przekazane (ang. „not delegated”) rządowi federalnemu są „zarezerwowane” dla rządów stanowych i obywateli stanów.

Co ciekawe, dziesiąta poprawka, czyli ostatnia z poprawek składających się na tzw. Kartę Praw, obowiązującą od roku 1791, była właściwie zbędna, powtarzała bowiem to co implícite było już zawarte w Konstytucji. Mianowicie, stwierdzenie, iż kompetencje stanów są *liczne i nieokreślone* oznaczało, że kompetencje te rozciągają się na wszystko co nie znalazło się explicite w sferze uprawnień rządu federalnego – to dlatego w Konstytucji określony został zakres władzy tego ostatniego i wyliczone zostały jego kompetencje by odmówić mu w ten sposób jakichkolwiek innych i zostawić je stanom. A jednak niektóre stany wymogły wprowadzenie wspomnianej poprawki, by – jak miały nadzieję – na zawsze uniemożliwić skupienie zbyt dużej władzy w rękach władzy federalnej.

Jak dodaje Sobran, *niektóre stany ratyfikowały Konstytucję po formalnym zastrzeżeniu, że rezerwują sobie prawo do odebrania w dowolnym momencie uprawnień, jakie przekazały na rzecz władzy federalnej. Było to równoznaczne z zagwarantowaniem sobie prawa do secesji. Nikt wówczas tego prawa nie kwestionował, bo i jak mógłby. Chodziło wszak jedynie o potwierdzenie podstawowego prawa politycznego przyznanego w Deklaracji Niepodległości.*

W tym miejscu warto dodać, że sprzeciw wobec idei silnej władzy federalnej, jakkolwiek zdecydował o ostatecznym kształcie Konstytucji i przeto o ustroju wczesnych Stanów Zjednoczonych, nie był podzielany przez wszystkich Ojców Założycieli. Początkowo zwolennikami silnej władzy federalnej byli dwaj najwybitniejsi Założyciele, Hamilton i Madison. Drugi z nich, widząc niemożliwość zrealizowania idei silnej władzy centralnej, stosunkowo szybko z niej zrezygnował i w rezultacie w największej mierze przyczynił się do powstania konstytucji odpowiadającej większości ustawodawców zaangażowanych w proces ratyfikacyjny (zarówno samych Ojców Założycieli, biorących udział w pracach Wielkiej Konwencji, jak i legislatur stanowych, odpowiedzialnych za ratyfikację Konstytucji). Aleksander Hamilton pozostał wierny swej idei i, już jako członek rządu Jerzego Waszyngtona, dążył do umocnienia państwa interpretując Konstytucję *szeroko*. Hamilton pisał: *Jeżeli cel jest jasno zrozumiały w kontekście któregośkolwiek z uprawnień [władzy federalnej], i jeżeli [proponowane] środki jego osiągnięcia mają oczywisty związek z celem, jeżeli ponadto realizacja owego celu nie jest zabroniona przez którąś z klauzul Konstytucji, to można go bezpiecznie uznać za pozostający w zakresie kompetencji władzy narodowej.* W ten sposób Hamilton starał się uzasadnić jak najszersze uprawnienia władzy federalnej. Na przykład, będąc merkantylistą, Hamilton opowiedział się w roku 1791 za pewnymi formami ekonomicznego interwencjonizmu państwa, w tym za ochroną przed konkurencją zagraniczną, materialnym wspomaganie pewnych działań gospodarczych, budową przez państwo dróg i kanałów. Miało się to według Hamiltona odbywać w imię dobra wszystkich. A że Konstytucja uprawniała władzę federalną do pewnych działań na rzecz *ogólnego dobra kraju*, więc - zdaniem Hamiltona - działania przezeń postulowane leżały wśród uprawnień explicite tej władzy przyznaných. Kongres jednak propozycję Ojca Założyciela odrzucił. Z jednej strony wygrało poparcie dla wolnego handlu, z drugiej zaś uznano trafność kontrargumentów Madisona - jeśli klauzula dobra kraju uzasadnia działania interwencjonistyczne państwa, to klauzula ta faktycznie *oddaje Kongresowi władzę nad*

wszystkim, od najpoważniejszych aktów legislacyjnych do najdrobniejszych aktów politycznych. Gdy Hamilton wrócił osiem lat później do idei finansowania przez państwo budowy sieci kanałów, sam już stwierdzał, że jej realizacja wymagałaby przyjęcia specjalnej poprawki do Konstytucji (do czego zresztą nie doszło).

Krótko mówiąc, wczesna Ameryka przyjęła ostatecznie ustrój o ściśle ograniczonej władzy centralnej, z Konstytucją - jak to ujmują takie współczesne autorytety jak Forrest Mc Donald, Melvin Bradford czy starszy od nich Michał Oakeshott - na którą trzeba patrzeć z nomokratycznego a nie teleologicznego punktu widzenia. Innymi słowy, amerykańska konstytucja została zaakceptowana jako zapis praw, do których przestrzegania zobowiązana jest władza; Konstytucja jest prawem które rządzi władzą, a nie obywatelami. Ponadto, Konstytucja nie orzeka jaka Ameryka ma być, do jakiego ideału powinna zdążać. Do takiego orzekania mają prawo obywatele, nawet rządy stanowe, jeśli im na to prawo stanowe pozwoli, ale nie państwo jako całość.

W ciągu kolejnych dekad XIX wieku konflikt wokół tego jak interpretować Konstytucję przybierał na sile. Z czasem głównymi stronami konfliktu stały się Północ i Południe – północ opowiadała się za szerokim rozumieniem ustawy zasadniczej i centralizacją władzy w rękach rządu federalnego, Południe nieugięte stało na gruncie *ściśłego* rozumienia Konstytucji i zachowania federalnego charakteru państwa. Wracając do artykułu Sobrana:

*Kulminacją konfliktu stała się wojna domowa. Lincoln, zmieniawszy swoje wcześniejsze stanowisko [...], odmówił jakimkolwiek stanowi prawa do opuszczenia Unii na mocy jednostronnej decyzji zainteresowanego stanu. To nie wolność osobista czy niewolnictwo było problemem [...]. Przemówienie gettysburskie **[tu przypis 2]** było mistrzowską próbą sfalszowania rzeczywistego znaczenia Deklaracji Niepodległości [...]. Południe walczyło o zachowanie prawa do posiadania niewolników, ale walczyło także o wolność, niezależność i suwerenność stanów. Tymczasem gdy przegrało, w okresie tzw. Rekonstrukcji [czyli w latach 1865 – 1872, przyp. JK], znalazło się pod okupacją, jakby było obcym państwem.*

Tu słowo komentarza. Lincoln chciał zachowania Unii, i to Unii tak bardzo odpowiadającej jego wyobrażeniom, że być może doprowadził do wojny, której można było uniknąć. Według niego samego celem rozpoczynanej przezeń wojny było zachowanie Unii, a nie zniesienie niewolnictwa. Jeszcze w przemówieniu inauguracyjnym pierwszą kadencję swojej prezydentury powtarzał własną, wcześniejszą deklarację: *Nie jest moim celem, bezpośrednio czy pośrednio, mieszanie się do sprawy niewolnictwa w tych stanach, w których instytucja ta istnieje.* Zarazem jednak, w tym samym przemówieniu ostrzegał: *Rozważając prawo uniwersalne oraz Konstytucję stwierdzam, że Unia tych Stanów jest wieczna. Jej wieczność jest zawarta implicite, o ile nie jest wyrażona explicite, w podstawowym prawie wszystkich rządów narodowych.*

Jego późniejsza, pochodząca z 1 stycznia 1863 roku, Deklaracja o Zniesieniu Niewolnictwa nie doprowadziła do uwolnienia żadnego niewolnika w stanach należących do Unii, była zaś środkiem mającym skomplikować sytuację Południa. Deklaracja, usprawiedliwiona *militarną koniecznością*, orzekała najpierw jakie tereny Stanów Zjednoczonych uznaje się za zbuntowane i następnie na nich tylko znosiła niewolnictwo **[tu przypis 3]**. Legislatura własnego stanu Lincolna, Illinois, stwierdziła, że Deklaracja *w jednej chwili zamieniła wojnę w krucjatę na rzecz nagłego, bezwarunkowego i gwałtownego uwolnienia 3 milionów czarnych niewolników; rezultatem [jej natychmiastowego zrealizowania, przyp. JK] byłby nie*

tylko całkowity przewrót w Unii Federalnej, ale rewolucja w społecznej organizacji stanów południowych.

Dla naszego wywodu ważniejszy jest jednak taki aspekt tragedii wojny secesyjnej oraz okresu Rekonstrukcji, znowu zaczerpnięty z artykułu Sobrana, choć podobnie widziany przez innych konserwatystów, w tym, znacznie wcześniej, śp. profesora Bradforda:

Lincoln nie potrafił przewidzieć do czego wojna domowa doprowadzi w dalszej przyszłości. Jego obsesją było uratowanie Unii za wszelką cenę [...]. Po raz pierwszy rząd federalny mógł ingerować w wewnętrzne sprawy stanów. I oto to co dotknęło Południe w dobie Rekonstrukcji, jest dziś codziennym doświadczeniem całego kraju. W wyniku wojny domowej także stany północne utraciły wolność i niezależność.

Wzrost potęgi rządu federalnego trwał przez cały wiek XIX i został jeszcze przyspieszony na początku wieku XX, gdy [uchwalane przez Kongres, przyp. JK] kolejne poprawki do Konstytucji dały Kongresowi prawo do nakładania podatku dochodowego, zmieniły charakter Senatu i usankcjonowały prohibicję. Ostateczny cios zadał Konstytucji Nowy Ład F. D. Roosevelta.

Konserwatyści są zgodni, że polityka Lincolna stworzyła cezurę, od której należy liczyć czas budowy *federalnego Lewiatana*. Omnipotencja państwa-Lewiatana jest dziś faktem. Prawo do nakładania podatku dochodowego nie wyglądało może groźnie w chwili jego uchwalenia, w roku 1913, kiedy to obowiązkowi podatkowemu zaczęło podlegać 0,4% obywateli USA, zaś najwyższy podatek wynosił 6% i dotyczył ludzi o dochodach wynoszących przynajmniej 500 tysięcy dolarów. W tamtym czasie Amerykanie mogli jeszcze czuć się wolnymi ludźmi. W tym samym, 1913 roku, formalnie przekreślony został arystokratyczny charakter Senatu i, tym samym, wczesnoamerykański arystokratyczny republikanizm – odtąd senatorowie wybierani są w wyborach bezpośrednich, nie zaś przez stanowe legislatury (zauważmy, że w ten sposób rządy stanowe utraciły ostatnią możliwość kontrolowania rządu federalnego). Najgorsze było jednak otwarcie drogi dla sterowanej przez państwo inżynierii społecznej, dokonane przez prezydenta Roosevelta. By tę tezę zilustrować, posłużymy się przykładami najczęściej przywoływanymi przez Sobrana.

Rooseveltowski Nowy Ład nie byłby oczywiście możliwy bez Wielkiego Kryzysu lat dwudziestych i trzydziestych. Nie bez znaczenia był też polityczny geniusz prezydenta, który umiał wykorzystać przewagę w Kongresie i poparcie zdeorientowanego społeczeństwa, z sympatią przyjmującego promocję związków zawodowych i najróżniejszych „praw pracowniczych”. Z wprowadzaniem przezeń Nowego Ładu - który początkowo składał się z programów mających doraźnie wspomóc wyjście kraju z kryzysu - uczynił środek trwałego wbudowania w system amerykański państwowego interwencjonizmu i państwowej opiekuńczości. Co prawda, w roku 1935 sędziowie sądów niższych instancji zaczęli wydawać setki orzeczeń przeciwko wprowadzeniu w życie wielu prawnych regulacji Nowego Ładu. W tym samym roku i na początku roku 1936, Sąd Najwyższy stwierdził sprzeczny z Konstytucją charakter fragmentów siedmiu dużych programów interwencjonistycznych. Ale, stosując naciski różnego typu, Roosevelt dość szybko złamał niezależność Sądu Najwyższego i już w roku 1937 budowa Nowego Ładu z powrotem zaczęła nabierać impetu (nota bene, w roku 1941 prezydent miał już w Sądzie Najwyższym, składającym się z dziewięciu sędziów, aż siedmiu mianowanych przez siebie zwolenników jego programów).

Problemem Sądu Najwyższego pozostawało jedynie znalezienie najlepszego sposobu na zalegalizowanie rooseveltowskiego Nowego Ładu. Od czego jednak inwencja sędziów? Wtedy to właśnie rozpoczęła się niezwykła kariera tzw. klauzuli handlowej z pierwszego artykułu Konstytucji, przyznającej Kongresowi prawo do regulowania handlu zagranicznego, handlu między stanami oraz handlu ze szczepami indiańskimi. Bez żadnej przesady, klauzula stała się jednym z filarów amerykańskiego porządku niby-konstytucyjnego. Na przykład, w roku 1938, klauzula ułatwiła Sądowi uzasadnienie wprowadzenia płac minimalnych oraz ograniczenia liczby godzin pracy w przemysłach, których wyroby były sprzedawane w różnych stanach. Sędziowie nie mieli wątpliwości, że Waszyngton najlepiej wie, jak pomagać wszelkim i wszystkim społecznościom lokalnym Ameryki. W roku 1942 sędziowie uznali, że - przy spełnieniu nieistotnych tu warunków dodatkowych - Waszyngton najlepiej też wie jaką połąć **swojego** pola może obsiać pszenicą amerykański farmer, nawet gdy pszenicę zużywa w całości w swoim własnym gospodarstwie rolniczo-hodowlanym. W owym czasie rzeczywiście wyszło takie rozporządzenie ministerialne. Pan Filburn, farmer z Ohio, próbował je zaskarżyć, ale Sąd orzekł, że produkując zbyt dużo, wpływałby na międzystanowy handel zbożem, przeto rzecz cała podlega kontroli federalnej i może przez władze federalne być regulowana.

Tak wytyczona droga Sądu Najwyższego zapowiadała najgorsze - klauzula handlowa oraz czternasta poprawka do Konstytucji z roku 1868 (a więc ze wspomnianego już okresu Rekonstrukcji), z jej rozdziałem pierwszym mówiącym o prawach człowieka, dawała inżynierom społecznym niesłychane oręż. Mając za sobą sędziów gotowych do nadinterpretacji artykułów Konstytucji, można było uzyskiwać wyrokiem Sądu Najwyższego regulacje prawne, które nie przeszłyby nawet przez demokratyczny Kongres (tak stało się z prawem do aborcji, przyznany przez Sąd w roku 1973, oczywiście z powołaniem się na prawa człowieka).

O tym, że szaleństwo nadużywania klauzuli handlowej trwało przez następne dziesiątki lat niech świadczy taka historia. Oto w roku 1990 weszło w życie prawo, zabraniające posiadania broni w promieniu 1000 stóp od szkoły. Prawo to, jako niezgodne z Konstytucją, zostało zaskarżone do Sądu Najwyższego. Jakiego więc argumentu użyli prawnicy Kongresu USA, by prawa bronić? Krótko streszczając: broń - zdarza się - może spowodować przerwanie czyjejs edukacji; edukacja jest koniecznym warunkiem posiadania produktywnego społeczeństwa; nie kto inny jak produktywni członkowie społeczeństwa warunkują powodzenie handlu międzystanowego, przeto w sprawie powołano się na klauzulę handlową; sic! Co prawda, tym razem w składzie Sądu znalazło się nareszcie pięciu sędziów, którzy powiedzieli dość - nie wszystko w USA jest handlem międzystanowym.

W kwietniowym wydaniu „Chronicles”, Stefan Presser, profesor historii prawa, pisze, że *obecna uzurpacja [przez władzę federalną – przyp. J.K.] podstawowego prawa stanów do ustalania własnych praw stanowych oraz prowadzenia własnej polityki stanowej wydaje się mieć źródło w myśli prawniczej pierwszych dekad XX wieku. Za głównego winowajcę uznaje wielkiego sędziowskiego sceptyka, Olivera Wendella Holmesa Juniora. [Jego] zwolennicy, przede wszystkim ze szkół prawniczych Harwardu, Yale i Columbii, szybko stworzyli nową filozofię prawa, [...] znaną dziś jako prawniczy realizm. Za Holmesem [...], prawniczy realiści uznali, że nie ma żadnych niekwestionowanych i trwałych reguł prawnych, i że decyzje sądów dają się najlepiej opisać jako produkty swoich czasów lub preferencji sędziów. Prawnicza filozofia Ojców Założycieli opierała się na przekonaniu o istnieniu pewnych wiecznych, szlachetnych i mających boską inspirację zasad, które składają się na fundament prawa i Konstytucji. Realisti tę filozofię odrzucili jako sentymentalny nonsens.*

Wspomnieliśmy już wcześniej o XIV poprawce do Konstytucji. Jak stwierdza prof. Presser: *Uchwalona po wojnie domowej, XIV poprawka pomyślana była [w głównej mierze, przyp. J.K.] jako środek mający pozwolić nowo wyzwolonym niewolnikom na posiadanie własności oraz zawieranie umów. Ale poprawka ta stała się w rękach sądów federalnych z połowy XX wieku narzędziem umożliwiającym narzucenie całemu narodowi scentralizowanej, zsekularyzowanej i egalitarnej wizji porządku społecznego. Wyzwoleni z ograniczeń, jakie na wcześniejsze sądy nakładała religia i tradycja, sędziowie wychowani na prawniczym realizmie przeinaczyli właściwe znaczenie XIV poprawki podobnie jak sądy Nowego Ładu przeinaczyły sens klauzuli handlowej.*

Dokładnie taki sam jest los – jak słusznie to opisuje prof. Presser - pierwszej z poprawek składających się na Kartę Praw. Nie warto rozwodzić się na tym jak dziś rozumiana jest wolność słowa. Ale warto może przypomnieć jak miała wyglądać zasada rozdziału kościoła i państwa. Otóż pierwsza poprawka *expressis verbis* zabrania władzy federalnej zarówno uznania jakiegokolwiek religii za państwową (ang. „established”) [tu przypis 4], jak i jakiegokolwiek ograniczenia praktyk religijnych. Wolność praktykowania religii oznaczała oddanie tej kwestii pod wyłączną jurysdykcję stanową. Unia nie miała tu żadnych kompetencji, i zresztą nie mogła ich mieć, bowiem stany w zgoła różny sposób widziały właściwe stosunki między państwem a kościołem czy kościołami. Wystarczy nadmienić, że w pięciu z trzynastu stanów, które jako pierwsze ratyfikowały Konstytucję, religia miała status religii państwowej, gdy na przykład w stanie Jeffersona, Virginii, istniał ścisły rozdział państwa i kościoła. Dopiero w 1878 roku Kongres podjął próbę rozciągnięcia jurysdykcji federalnej w kwestiach religii na stany. Próba ta wówczas nie powiodła się dzięki sprzeciwowi Senatowi, ale dziś – za sprawą prawniczych realistów - stany nie mają już nic do powiedzenia. „Właściwa” interpretacja poprawki czternastej pozwala z pierwszej uczynić oręż Sądu Najwyższego w walce z obecnością religii w kulturze.

Ale to nie koniec kłopotów z Sądem Najwyższym. W ostatnich latach prasa konserwatywna alarmuje, że wiele działań tegoż sądu oraz sądów federalnych to w istocie ich próby swoistego przedzierzgnięcia się w organy ustawodawcze. Najczęściej pisze się o sprawie złośliwie przezwaną problemem *podatku sędziowskiego* (ang. „judicial taxation”). Na podstawie lektury periodyków konserwatywnych tylko w zeszłym roku można by ułożyć całkiem długą listę przypadków nałożenia takiego „podatku”. Oto przykład pierwszy z brzegu: w roku 1990 Sąd Najwyższy podtrzymał decyzję sądu federalnego stanu Kansas, zmuszającą władze lokalne do opodatkowania mieszkańców Kansas City na rzecz modernizacji tych miejskich szkół publicznych, które uczestniczą w specjalnym programie ułatwiającym integrację młodzieży z różnych środowisk. Sam program, skupiający tzw. „szkoły-magnesy”, o tyle przynajmniej miał być sensowny, że miał do owych szkół publicznych przyciągnąć młodzież zdolniejszą i pochodzącą z lepszych domów, a więc raczej wybierającą szkoły prywatne. Aby to osiągnąć, należało zaproponować szczególnie ambitne i atrakcyjne programy nauczania. Ale atrakcyjność kosztuje i stąd potrzebny był wyrok – wystarczy powiedzieć, że modernizacja szkół-magnesów kosztowała społeczeństwo Kansas City ponad 540 milionów dolarów do roku 1995 (lepszych uczniów postanowiono przyciągnąć setkami komputerów osobistych, klimatyzacją w klasach, supernowoczesnymi laboratoriami językowymi, studiem telewizyjnym itd, itp). Wyrok miał zresztą tragicomiczny efekt uboczny – otóż znacznie dawniejsze programy desegregacyjne w Kansas City wymiotły były z miasta dużą część klasy średniej, skutkiem czego podatkiem sędziowskim trzeba było obłożyć sektor produkcyjny, a ten rzecz jasna przerzucił ponoszone wydatki na najczęściej ubogich konsumentów.

Wszyscy publicyści konserwatywni są zgodni, że właśnie opisana uzurpacja władzy ustawodawczej przez sądy jest faktem niesłychanym i niebezpiecznym. Jeszcze w roku 1913 **legislatura** federalna poczuwała się do obowiązku zmiany Konstytucji, by móc wprowadzić podatek dochodowy, a niespełna 80 lat później władza **sądownicza** wprowadza nowe podatki nie licząc się z rządem stanowym, nie mając władzy ustawodawczej, mając zaś jedynie na swe „usprawiedliwienie” widzimisię sędziego-inżyniera (społecznego).

Zbudowany przez Ojców Założycieli trójczłonowy system rządów, oparty na *kontrolowanej równowadze* (ang. „checks and balances”) jego trzech członów - ustawodawczego, wykonawczego, i sądowniczego - leży dziś w gruzach. Urząd prezydencki nie jest żadną republikańską wersją godności monarszej, Senat nie ma w sobie nic z arystokracji, Izba Reprezentantów nic z reprezentacji ludu (bo jest częścią rządzącej nomenklatury, o czym pisałem dwa miesiące temu), zaś Sąd Najwyższy z opiniodawcy badającego zgodność aktów prawnych z Konstytucją stał się wielkim i potężnym uzurpatorem. O federalizmie i jakichkolwiek kompetencjach rządów stanowych nie warto już nawet wspominać.

Novus ordo saeculorum

Donald Livingston, profesor filozofii na uniwersytecie Emory, proponuje w kwietniowym numerze „Chronicles” kroki, jakie powinny podjąć kręgi opiniotwórcze by Amerykę zawrócić z drogi, na której się znalazła. Swoją propozycję poprzedza lapidarnym szkicem przemian ustrojowych Zachodu w ciągu ostatnich dwustu lat [**tu przypis 5**]:

Ludobójstwo i barbarzyństwo XX wieku *nie byłoby możliwe bez bezprecedensowej koncentracji władzy w nowoczesnych państwach. Gdyby Hitler i Stalin byli XVIII-wiecznymi monarchami, nie wymordowaliby milionów, ponieważ nie mieliby władzy pozwalającej na zmobilizowanie wszystkich niezbędnych do tego środków. Byliby ograniczeni przez inne,*

niezależne i wpływowe ośrodki władzy i autorytetu (Kościół, szlachtę, władze lokalne), które – równie potężne w sferach swej kompetencji jak władza monarsza – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sprzeciwiłyby się barbarzyństwu. Dla przykładu, car tracił przeciętnie w latach 1825-1905 tylko 17 osób rocznie. Wraz z upadkiem caratu upadły także wszelkie niezależne społeczne władze i autorytety, ich zbiorowy opór na dużą skalę stał się niemożliwy. Lenin i Stalin mogli przystąpić do mordowania milionów.

Rewolucja francuska zrodziła pierwsze prawdziwie nowoczesne państwo. [...] Zabito króla, wyeliminowano szlachtę, kler, władze lokalne i niezależnych sędziów. Republika Francuska, w imię „praw człowieka”, zamknęła w więzieniach pół miliona ludzi, spośród których 17 000 stracono na mocy wyroku sądowego i 12 000 bez wyroku. Wielu umarło w więzieniu. Po raz pierwszy w historii Europy zarządzono powszechny pobór do wojska. [...]

Według uniwersalistycznego liberalizmu, zniszczenia XX-wieczne były wynikiem działania nieliberalnych rządów. Nie dostrzega się, że to sam liberalizm pierwszy legitymizował zniszczenie niezależnych społecznych autorytetów i społecznej struktury, przekształcając społeczeństwo w masę oraz koncentrując władzę w jednym ośrodku. Republika Francuska była pierwszym nowoczesnym państwem, za swą legitymację mając ideologię liberalną. Była też pierwszym państwem totalitarnym.

Najważniejszą wojną XX wieku była I wojna światowa. [...] Wszystkie narody, które prowadziły tę wojnę, miały się za postępowe i liberalne monarchie konstytucyjne lub republiki. Przez cały wiek, te rzekomo liberalne reżimy koncentrowały władzę. Koncentracja osiągnęła w roku 1914 masę krytyczną i eksplodowała – rozpoczęła się wojna, która zniszczyła społeczną strukturę Europy. Narodowy socjalizm i komunizm nie powstały w próżni, lecz były wynikiem destrukcji przeprowadzonej przez postępowe reżimy liberalne. Oświeceni liberalowie niemieccy długo pracowali nad tym by zniszczyć małe, niezależne księstwa oraz wolne miasta i wykreować niemieckie superpaństwo. Hitler nie musiał starać się o skupienie władzy w swoich rękach [...] – koncentracja władzy była dziełem wcześniej dokonanym przez Bismarcka i weimarski liberalizm.

Prof. Livingston pyta dlaczego nowoczesne państwo zainteresowane było zniszczeniem grupowej wolności niezależnych, społecznych ośrodków władzy i autorytetu, oraz prowadziło do centralizacji władzy? Uważa, że teoretyczne ramy nowoczesnemu państwu dał w „Lewiatanie” Hobbes. Hobessowskie państwo, którego ostatecznym celem jest maksymalizacja autonomii jednostki i jej wolności wyboru, stało się fundamentem wszelkiej nowoczesnej myśli politycznej. Wyniesienie autonomii jednostki – pisze Livingston – stało się wyróżnikiem Oświecenia. Oczywiście, było wiele niezgody co do dokładnego charakteru autonomii i jej warunków, co do „pozytywnej” i „negatywnej” wolności. Locke, Kant, Hegel, Marx, Mill, Godwin, Nietzsche, Sartre ujmowali rzecz inaczej, ale wszyscy byli zgodni, że autonomia jest celem nowoczesnego państwa. Miał rację Marx, nazywając Hobbesa ojcem nas wszystkich.

Pisze dalej Livingston: Rzecz jasna, autonomia jest dobrem godnym szukania dróg jego realizacji, ale jest dobrem podporządkowanym pierwotnemu dobru, jakim jest sposób życia wiążący pokolenia. Autonomia i wolność wyboru albo zakładają pierwszeństwo kultury, albo nie mają żadnego realnego sensu. Myśleć inaczej to abstrahować od społecznej natury człowieka – ludzkiej dyspozycji do poszukiwania człowieczego dobra we wspólnocie z innymi [...]. Jak powiedział T.S. Eliot, kultura jest tym co czyni życie wartym przeżycia. Kultura

wiąże pokolenia. Jest zbudowana nie na autonomii, a na bezwiednym podporządkowaniu oraz uległości wobec autorytetu. [...]

Ponieważ cała myśl oświeceniowa jest wrogo nastawiona do idei bezwiednego podporządkowania, myśl ta albo ignoruje pierwszeństwo kultury, albo – w bardziej radykalnej formie – explicite mu zaprzecza. [...] Wolności grupowe oraz autorytety społeczne, niezbędne do obrony i kultywowania wartościowego sposobu życia, są całkowicie wyeliminowane. W konsekwencji, jakakolwiek poważna nauka moralna, starająca się uchwycić całościowo wizję dobrego życia, jest prawnie wykluczona z domeny spraw publicznych i sprowadzona do sfery prywatnych uczuć człowieka. Ludzie stają się zbiorowiskiem obcych, [...] zanurzonych w moralnym nihilizmie.

Wayne Allen, często goszczący na łamach „Modern Age”, tak zreasumował w numerze kwartalnika z lata 1998 liberalną niezgodę na cokolwiek co pozwalałoby człowieka zakotwiczyć w przeszłości:

Być może tą „kotwicą”, która sprawia największy kłopot liberalom, jest Dziesięć Przykazań. To „kotwica” nie tylko przednowoczesna, ale i przedchrześcijańska. Przykazania są bolesnym przypomnieniem liberalnej niemożności czynienia postępu bez oglądania się wstecz. To dlatego przykazania boskie zostały usunięte ze szkół. Przykazania jednocześnie ograniczają wolność jednostki i są wyrazem jedności, która niweczy autonomię.

Triumf ideologii liberalnej nad amerykańskim republikanizmem musi zastanawiać. Czy amerykańska rewolucja musiała doprowadzić do zwycięstwa oświeceniowego rozumienia praw naturalnych jednostki, jej wolności i autonomii? Albo inaczej, pamiętając, że panujący dziś liberalizm przybrał kształt ustroju, który trafniej jest nazwać socdemoliberalizmem: czy Ameryka była od początku skazana na Nowy Ład, później kolejny program socjalistyczny, czyli johnsonowskie Wielkie Społeczeństwo, wreszcie na postmodernistycznego Clintona? Federalizm mógł ją ochronić przed nieokiełznanym rozrostem państwa, ale dlaczego z federalizmu zrezygnowano? Czy zarodki upadku republiki leżały kiedyś wyłącznie na starym kontynencie i zostały przeniesione do Ameryki dopiero po utworzeniu federalnego państwa?

Polski znawca tematu, dr Jacek Bartyzel, zdaje się odpowiadać, że już samo *niezmywalne piętno kontraktualizmu, utopizmu i ahistoryczności* doświadczenia amerykańskiego niejako musiało zaowocować wspomnianymi wynaturzeniami. Ameryka wszak powstała mocą kontraktu, w opozycji do Starego Świata. Starając się stworzyć arystokratyczną i nomokratyczną republikę, ale bez prawdziwego Suwerena, umiejącego znaleźć oparcie w transcendentnym Ładzie, Ameryka skazana była na zatriumfowanie centralizmu i roussoistyczno-jakobińskiej demokracji ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Spojrzenie z takiej perspektywy pozwala chyba zrozumieć psychologiczne przyczyny tego, iż przynajmniej do niedawna trudno było w amerykańskiej publicystyce konserwatywnej znaleźć próby odpowiedzi na postawione pytania. Nielatwo wszak samym Amerykanom rozpisywać się o piętnie, na które wskazuje dr Bartyzel. Z drugiej strony, badania historyków nad początkami Ameryki trwają i budzą odzew w środowiskach konserwatywnych, zwiastując chyba ożywienie publicystyki na poruszony temat. Niech mi wolno będzie wspomnieć przynajmniej trzy monografie, które doczekały się poważnych recenzji w „Modern Age” lub „Chronicles”: B.A. Shaina „The Myth of American Individualism: The Protestant Origins of American Political Thought”, angielskiego historyka religii, J.C.D. Clarka „The Language of

Liberty, 1660-1832: Political Discourse and Social Dynamics in the Anglo-American World” oraz I. Kramnicka i R.L. Moore’a „The Godless Constitution: The Case Against Religious Correctness”.

Prof. Shain skoncentrował się na badaniu wolności kultywowanej przez wiejskie społeczności ostatnich dekad XVIII wieku. Wolność ta nie miała nic wspólnego z wolnością jednostki i jej autonomią. Była to wolność grupowa – wolność wspólnoty lokalnej do wyznawania tej samej religii (lub członkostwa w tej samej sekcie) i zarazem wolność wspólnoty od wpływów z zewnątrz. Jednostka albo podporządkowywała się prawom i religii wspólnoty, albo musiała ją opuścić. Sama zaś wspólnota była lokalna i konkretna, ograniczona do konkretnego miejsca – wspólnota większa, zorganizowana wokół jakiejś abstrakcyjnej idei, jak choćby wspólnota federalna, była protestanckim kolonizatorom zupełnie obca (to dlatego z pogardą traktowano kwakrów z ich wizją ponadnarodowej wspólnoty egalitarnej).

Shain dał nowe uzasadnienie dla obalenia liberalnego mitu o amerykańskich rewolucjonistach walczących o wolność i autonomię jednostki. Jednocześnie jednak udowodnił, że – wbrew temu czego życzyliby sobie zwolennicy czysto republikańskiej wizji młodej Ameryki – wiejska społeczność miała sobie za nic porządek społeczny rodem ze starożytnego Rzymu lub XVII-wiecznej myśli angielskich Wigów. I, nolens volens, postawił pytanie o intelektualną orientację środowisk miejskich. Jak pisze recenzent „Modern Age”:

Nie ulega wątpliwości, że indywidualna a nie grupowa wolność ma kapitalne znaczenie w myśli Jeffersona, Madisonsa czy Jaya (wśród myślicieli politycznych doby Rewolucji tylko wypowiedzi Jana Adamsa były niejednoznaczne w tej kwestii). Chociaż pojęcia wolności, praw naturalnych i równości przyjmowały różne znaczenia w ich pismach, często najbardziej oczywiste było wiązanie tych pojęć z oświeceniowym indywidualizmem. [...] Studium Shaina otworzyło wrota do dalszych badań i lepiej uzmysłowiło złożoność i niuanse debaty nad alternatywą „liberalizm czy republikanizm”.

Z kolei prof. Clark wykazuje ścisły związek amerykańskiej rewolucji z religijną historią Ameryki Północnej. Wskazuje na podobieństwa i brzemienne w skutki różnice między losami anglikanizmu w Anglii i w Ameryce. Ruch odszczepieńczy (skupiony głównie na negacji dogmatu o Trójcy Św. i sprzecznie wobec kościoła hierarchicznego) był w Nowym Świecie nieporównanie bardziej żywotny niż na Wyspie. Odszczepieńcy mieli tendencję do społecznego i politycznego radykalizmu. Często wierzyli, na modłę Jana Jakuba Rousseau, w dobrą naturę człowieka i w to, że zło jest dziełem złych instytucji. Bywało, że miejsce teizmu zajmował deizm. Ów sekciarski radykalizm w istotny sposób wpływał na pogłębianie się konfliktu amerykańsko-angielskiego.

Według Clarka, rozważając amerykańską tożsamość nie wolno abstrahować od religijnej heterodoksji wczesnej Ameryki, nie dostrzegać u jej początków religijnych ruchów odszczepieńczych oraz bardziej radykalnej myśli, która odrzuciła augustyńskie rozumienie upadku człowieka i która przeto *tyranię grzechu subtelnie przemieniła w tyranię królów i biskupów.*

Patrząc z tej perspektywy Clark nie dziwi się, że Ameryka stała się rychło krajem millenijnym, dumnie budującym nowy porządek - novus ordo saeculorum. Konsekwencją była centralizacja (stąd wojna domowa) i przyjęcie świeckiej *religii społecznej* z Konstytucją jako

jej naczelną ikoną oraz Ojcami Założycielami w roli świętych (fałszowanie Konstytucji oraz myśli Założycieli było sprawą późniejszą, acz nie nieoczekiwaną).

Podobnie widzą religijny kontekst początków amerykańskiej republiki Kramnick i Moore, autorzy trzeciej ze wzmiankowanych książek. Ich zdaniem amerykańska konstytucja w żaden sposób nie odwołuje się do Boga nie dlatego, że miała mieć charakter sensu stricto nomokratyczny, a dlatego, że nie mogło być inaczej w czasie, gdy wśród elit po obydwu stronach Atlantyku rozpowszechniona była heterodoksja i nieobcy był elitom deizm. Omawiając książkę Kramnicka i Moore'a na łamach *Chronicles*, historyk i religioznawca, prof. Filip Jenkins, zwraca uwagę, że w owym czasie nie tylko dochodziło do odrzucenia dogmatu trynitarnego, ale że odrzucany był również dogmat o wcieleniu i boskości Chrystusa, w rezultacie czyniąc z chrześcijaństwa kult *Boga Natury*, bliski ideom masońskim. Jenkins dziwi się zresztą, że książka pomija wpływ myśli masońskiej na niektórych z najbardziej znanych Założycieli [tu przypis 6].

Naszkicowane tu poglądy wymienionych historyków nie przeczą wcześniejszym wynikom badań prof. Bradforda, który między innymi podkreślał obecność myśli i praktyki ściśle chrześcijańskiej wśród Ojców Założycieli i który na tej również podstawie wyprowadzał faktyczny sens sformułowań zawartych w amerykańskiej ustawie zasadniczej. Nie można nie uwzględnić ortodoksyjnej wiary ogromnej większości Założycieli, obecności modlitwy w ich domach i na Konwencji konstytucyjnej (także np. heterodoks Madison regularnie przewodniczył modlitwom rodzinnym). A jednak znaczenia innych wątków historii wczesnej Ameryki wydawał się Bradford (jak i wielu konserwatystów) nie doceniać.

Co zrobić?

Zgadając się, że Konstytucja nie powinna być traktowana jak ikona, trudno się zarazem dziwić, iż tradycyjni konserwatyści coraz częściej szukają sposobów powrotu do choćby częściowego jej przestrzegania. Konserwatyści ci mają rację widząc w takim powrocie – abstrahując od jego możliwości - szansę na okiełznanie państwa-molocha.

Redukcja podatków nie jest żadnym panaceum, ale *państwowa konfiskata 50 centów z każdego dolara dochodu*, stwierdza w majowym numerze „*Chronicles*” Dawid Hartman, przewodniczący Rady Dyrektorów Instytutu Rockfordskiego (wydawcy miesięcznika), jest równoznaczna z *grabieżą* opartą na *kłamstwie i demagogii*. Dziś można wykazać ponad wszelką wątpliwość, że realizacji socjalistycznej utopii towarzyszy największy kryzys społeczny w historii Ameryki. Hartman podaje przykłady skutków państwowej opiekuńczości: wspomaganie samotnych matek miało wyeliminować biedę wśród dzieci, doprowadziło zaś wśród amerykańskiej biedoty do lawionowego wzrostu liczby nieślubnych dzieci oraz rozwodów; zakładanych celów nie spełnił ani państwowy fundusz emerytalny, ani państwowy system ubezpieczeń dla osób starszych, ani system szkół publicznych; itd, itp. Hartman dowodzi, że odmówienie rządowi kompetencji, które ten sobie uzurpuje wbrew literze i duchowi Konstytucji, jest warunkiem koniecznym powstrzymania moralnej degradacji narodu.

Cytowany już prof. Livingston stara się na wyzwania, jakie dziś stoją przed Ameryką, spojrzeć z pozycji filozofa:

Reforma powinna zacząć się od skonstatowania, że nowoczesne państwo nie jest naszym naturalnym przeznaczeniem, lecz wysoce sztucznym wytworem ostatnich 200 lat. Po drugie, należy zdecydowanie odrzucić fundament, na którym wspiera się nowoczesne państwo – nieokiełznana koncentracja władzy (jakie nie byłoby jej uzasadnienie) jest sama w sobie złem. Legitymacją dla takiej koncentracji była ideologia maksymalizacji autonomii [...]. Musimy zdecydowanie sprzeciwić się traktowaniu maksymalizacji autonomii jako celu państwa. Celem politycznego związku jest ochrona i kultywacja wartościowego sposobu życia we wspólnocie z innymi. Po trzecie, stwierdzenie, że wartościowy sposób życia stoi przed autonomią oznacza powrót (na tyle, na ile jest to możliwe) do polityki na ludzką skalę – musimy odbudować suwerenność stanów i wspólnot lokalnych, uwzględniając prawo stanu, miasta czy innego znaczącego podmiotu społecznego do oparcia się naruszeniu jego suwerenności przez władzę centralną. Po czwarte, porzucony musi zostać język liberalizmu (którym zarażeni jesteśmy wszyscy) wraz z wszystkimi filozoficznymi przesądami, które wyraża. Nie ma żadnych niezbywalnych i naturalnych praw człowieka niezależnych od wspólnej tradycji moralnej. [...]

Pomijając problemy podniesione przez Bartyzela, pytaniem pozostaje czy ma rację Livingston ograniczając swój dyskurs do zagadnienia liberalizmu i abstrahując od natury współczesnego państwa menedżerskiego, o której pisałem w poprzednim przeglądzie cytując Samuela Francisa.

Przypisy:

1. „Federalista” to wspólny tytuł serii 85. artykułów opublikowanych w prasie nowojorskiej w latach 1787-88, gdy legislatury stanowe debatowały nad ratyfikacją konstytucji przygotowanej przez Ojców Założycieli. Artykuły, napisane przez Aleksandra Hamiltona, Jakuba Madisona oraz Jana Jaya pod wspólnym pseudonimem Publius, stanowiły fundamentalny komentarz do ustawy. Hamiltonowi przypisuje się dziś autorstwo 51. artykułów, Madisonowi – 29., Jayowi zaś pozostałych 5.
2. Przegrana przez armię Południa bitwa gettysburska (1-3 lipca 1863) była punktem zwrotnym wojny. W listopadzie tego samego roku Lincoln wygłosił w Gettysburgu swoje słynne przemówienie, formułujące cele Unii. Wkrótce potem zmienił się charakter wojny – Unia rozpoczęła pierwszą w historii wojnę totalną.
3. Dodatkowe światło na rzeczywisty cel proklamowania Deklaracji o Zniesieniu Niewolnictwa rzuca fakt, że ta nie uznała za zbuntowane tych terenów Południa, które znajdowały się już pod okupacją Północy. Również zatem i tam niewolnictwo nie zostało zniesione.
4. Według Założycieli, zakaz ustanowienia religii państwowej bynajmniej nie odbierał władzy federalnej prawa do pomagania kościołom na różne sposoby, byleby pomoc ta miała charakter incydentalny i nie dyskryminowała któregośkolwiek wyznania.
5. W liczącym parę stron szkicu nie sposób uniknąć uproszczeń, można jednak zarysować ogólny kierunek zmian. Bodaj najszerszą analizę fenomenu lewicowości na przestrzeni wieków przedstawił Eryk von Kuehnelt-Leddihn (p. zwłaszcza jego „Leftism Revisited: From de Sade and Marx to Hitler and Pol Pot”). Kuehnelt-Leddihn woli pisać o *lewicowości* a nie o

liberalizmie, w ten sposób unikając ewentualnych nieporozumień; liberalizm, o którym pisze Livingston, jest oczywiście ideologią lewicową i nie ma wiele wspólnego z liberalizmem niemieckich ordoliberalów, samego Kuehnelt-Leddihna (katolika, arystokraty i monarchisty, w swoim czasie związanego zresztą z ordoliberalami), oraz ich protoplastami, np. Jakubem Burckhardtem.

6. Masoneria amerykańska była swego rodzaju odpryskiem angielskiej i nie miała nic wspólnego z francuską Lożą Wielkiego Wschodu. Nie była antychrześcijańska (choć, przynajmniej w Anglii, była antykatolicka). Była wówczas w Ameryce raczej znakiem przynależności „do towarzystwa” i organizacją nepotyczną niż czymkolwiek innym. Podziały nie były ostre, zaś obecność religii w życiu Amerykanów była wszechobejmująca - mason i jednocześnie wielki Amerykanin, Benjamin Franklin, zaproponował Konwencji Konstytucyjnej rozpoczynanie obrad codzienną modlitwą błagalną o Bożą pomoc. Ale też nie oznacza to, że wpływ myśli masońskiej na losy Ameryki można zlekceważyć.